



Mirosław Derecki

KOLUMBOWIE Z LUBLINA

ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM KURZAŃKOWSKIM

- Pośród książek, które pretendowały w tym roku do przyznawanej w Lublinie Nagrody im. Bolesława Prusa, była wydana w 1986 roku przez Bicenial Publishing Corporation w Nowym Jorku, powieść Jerzego Romana Krzyżanowskiego „Diana”. I choć nie znalazła się wśród utworów nagrodzonych, zwróciła na siebie uwagę. Jeden z jurorów, Andrzej W. Pawluczuk, pisał później na łamach „Sztandaru ludu”, iż poleca ją lubelskim wydawcom, bo „mało jest tak znakomitych powieści osadzonych w realiach przedwojennego i wojennego Lublina”. Ze swej strony dodam, że mieszkający od dwudziestu kilku lat w Stanach Zjednoczonych prof. Jerzy Krzyżanowski, pisarz, krytyk, eseista, wykładowca slawistyki i literatury polskiej na uniwersytecie w Columbus (Ohio), nie traci kontaktów z Polską, i z naszymi wydawcami. Przed rokiem „Czytelnik” wydał wybór jego szkiców „Legenda Somosierry i inne prace krytyczne”, poświęconych głównie prozie polskiej i jej recepcji w krajach anglosaskich.

- Zgadzam się z przytoczoną oceną „Diany”. Nie bardzo tylko rozumiem, dlaczego właśnie ze mną, plastykiem, ma się toczyć rozmowa na ten temat.

- Między innymi dlatego, że Krzyżanowski tutaj, w Lublinie, urodzony na początku lat dwudziestych, tutaj uczęszczający do gimnazjum i tutaj działający w konspiracji, (co znalazło po latach odbicie na kartach „Diany”), wywodził się z tego samego co pan, miejscowego kręgu inteligenckiego. Mieliście wspólnych znajomych, chodziliście po mieście podobnymi trasami. No i pod koniec okupacji znaleźliście się w tym samym partyzanckim oddziale AK, u „Szarugi”.

- Tak, to prawda. Nawiasem mówiąc, „Diana” to powieść z kluczem. Wielu jej bohaterów ma swoje pierwowzory wśród młodych i starszych mieszkańców Lublina z tamtego okresu.

- Właśnie! I dlatego chodzi mi nie tylko o samą „Dianę”. Ale i o jakiś wycinek obrazu pokolenia Kolumbów z rocznika dwudziestego, osadzonych w lubelskiej wojennej i tuż powojennej rzeczywistości. Pozostajmy jednak jeszcze przez moment przy powieści. Mówiąc

w ogromnym skrócie, jest to historia dwojga bardzo młodych ludzi, Diany Brunówny i Janka Krzemienia. Historia ich pierwszej, młodzieńczej miłości, która zostaje zmiażdżona przez bieg historycznych i politycznych wydarzeń. Janek, podchorąży AK, wstępuje po wyzwoleniu do tworzącej się na Lubelszczyźnie 2 Armii Wojska Polskiego. Niesłusznie oskarżony, zostaje aresztowany i wywieziony do obozu w ZSRR. Diana, jako pielęgniarka wojskowego szpitala, wędruje z polską armią w kierunku Berlina. W dramatycznych okolicznościach zostaje „frontową żoną” zakochanego w niej bez pamięci radzieckiego oficera „politrazwiedki”, zresztą wnuka powstańca styczniowego. Gdy Diana wróci po pewnym czasie, już bez niekochanego męża, do Lublina i spotka tutaj zwolnionego z dalekiego obozu Janka, okaże się, że ich miłość nie była na tyle pełna i dojrzała, by sprostać próbie czasu. A wszystko to dzieje się w lubelskiej scenerii, na ulicach, placach, w parkach naszego miasta, ukazanych w sposób niezwykle wyrazisty i wręcz przejmująco wierny.

- Ja po przeczytaniu „Diany” także byłem zaskoczony pamięcią autora, który z taką dokładnością, z takim sentymentem potrafił odtworzyć na kartach książki atmosferę tamtych lat i ówczesne lubelskie realia.

- W głównym bohaterze, podchorążym Janku Krzemieniu, trzeba się chyba dopatrywać samego autora książki?

- O, z pewnością! Aczkolwiek wielu faktów i wydarzeń przedstawionych w książce nie można utożsamiać z osobą Jerzego Krzyżanowskiego. Również Diana posiada swój autentyczny pierwowzór, choć imię i nazwisko tamtej dziewczyny brzmiały zupełnie inaczej. Mieszkała w jednej z kamienic przy ulicy Narutowicza i nawet byłem kiedyś z kolegami, w jej mieszkaniu. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w tej właśnie kamienicy miała swoją siedzibę wasza redakcja. Jurek Krzyżanowski, tak jak bohater powieści, pracował jako mechanik samochodowy w przedsiębiorstwie „Auto-Union” przy ul. Żabiej. Po dziś dzień stoi tam hala, w której wówczas reperowano samochody. Wspomniana w książce koleżanka Diany, Ninka, to dzisiejsza, nadal mieszkająca w Lublinie, mecenas Maria Pyszycka. Jej matka (książkowa dr Kraszewska) w istocie nazywała się Krajewska, była cenioną lubelską lekarką i działaczką społeczną. Sławek, przyjaciel Janka Krzemienia, to nasz towarzysz broni od „Szarugi”, Sławomir Żerdzicki, chłopak obdarzony pięknym głosem, oddziałowy bard, po wojnie wieloletni, ceniony śpiewak opery bytomskiej, dzisiaj znany reżyser teatralny...

- Jerzy Krzyżanowski, urodzony w Lublinie w 1922 roku, jest synem wybitnego znawcy i historyka literatury polskiej, prof. Juliana Krzyżanowskiego, który na początku lat dwudziestych osiedlił się na pewien czas w Lublinie. Był tutaj nauczycielem języka polskiego w żeńskim Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, a także prowadził wykłady na KUL-u.

Stosunkowo mało jest znany ten okres jego życia. Trafił do Lublina, bo stąd pochodziła jego żona, którą poznał... w Chinach, w Harbinie, gdzie rzuciły młodą dziewczynę wojenne losy. I gdzie on sam się znalazł, wędrując z objętej rewolucją Rosji bardzo okreśną drogą do kraju. Jeszcze w Rosji, ukrywając się na Syberii wraz z młodym znawcą literatury angielskiej, późniejszym profesorem Romanem Dyboskim, poznał Julian Krzyżanowski dobrze język angielski. A na pamiątkę tamtych lat dał później synowi na drugie imię Roman.

- Zupełnie o tych rosyjsko-chińskich przygodach prof. Krzyżanowskiego nie wiedziałem. A samego Jurka poznałem z widzenia niedługo przed wojną. Zapamiętałem go ze zlotu harcerskiego w Zemborzycach. Nosił wówczas na mundurku odznakę ogólnopolskiego zlotu harcerskiego w Spale. Ja zresztą byłem o trzy lata młodszy od Jurka. No i on chodził do Gimnazjum im. Stefana Batorego (tam, gdzie dzisiaj mieści się Collegium Anatomicum lubelskiej Akademii Medycznej przy ul. 22 Lipca), a ja do „Zamoyskiego”. W 1939 r. przeszedłem do trzeciej gimnazjalnej, on - już do maturalnej klasy. Chociaż nie znaliśmy się osobiście, to należeliśmy (pomijając harcerstwo) do tego samego kręgu młodzieży, wywodzącej się z lubelskich sfer inteligencko-artystycznych.

- Pana ojciec był artystą malarzem, matka nauczycielką...

- Myślę, że ojciec odziedziczył zamiłowanie do sztuki po moim dziadku. Dziadek, Antoni Kurzątkowski, był właścicielem drukarni w Radomiu. Drukował gazety, książki, być może takie litografie. Mój ojciec, Piotr Juliusz Kurzątkowski był już malarzem. A zarazem uczył rysunku w lubelskich szkołach. W naszym domu przy ul. Narutowicza 4, dziś już nieistniejącym (stał on na terenie należącym do obecnej Biblioteki im. Łopacińskiego), bywali m. in. Czechowicz, Łobodowski, ksiądz Zalewski i inni lubelscy ludzie kultury i sztuki. Prof. Krzyżanowskiego nigdy tam nie widziałem. Zresztą nie mieszkał on już wówczas w Lublinie. Wykładał kilka lat w Londynie, później w Rydze, a od połowy lat trzydziestych na Uniwersytecie Warszawskim. Z Jurkiem Krzyżanowskim zbliżyła nas na dobre okupacja, a właściwie wspólną żołnierka u „Szarugi”.

- Jak się zaczęła okupacja dla was, gimnazjalistów?

- Trochę jeszcze normalnie, bo do listopada 1939 roku funkcjonowały szkoły, do których poszliśmy jak co roku. Tyle, że o kilka tygodni później. Ale wkrótce nauka została przerwana i stanął przed nami dylemat: co teraz robić? Starsi zaczęli pracować, często jako robotnicy fizyczni. Młodszy uzyskali jakąś szansę dalszej nauki, gdy wiosną 1940 utworzono w Lublinie kilka szkół zawodowych. Nie były tym samym co gimnazjum, ale zawsze... Ja poszedłem do szkoły handlowej Vetterów, która mieściła się wówczas w budynku dawnej szkoły Kunickiego przy ul. Narutowicza, bo Niemcy wyrzucili „Vetterów” z okazałego gmachu przy ul. Bernardyńskiej. No i chodziło się także na tajne komplety gimnazjalne. Jurek

Krzyżanowski zaczął pracować w „Auto-Unionic”, i chyba też uczęszczał na tajne maturalne komplety. „Auto-Union” to była dobra praca, bo dawała „mocne papiery”, które zapobiegały wywózce na roboty do Niemiec. A bywało i tak, że pryncypałowie takich przedsiębiorstw wstawiali się za swoimi pracownikami u władz niemieckich w wypadku na przykład aresztowania. Dlatego wielu młodych ludzi związanych z konspiracją ceniło sobie pracę w tego rodzaju przedsiębiorstwach. Byli dzięki niej jeszcze bardziej zakonspirowani.

- Młodszy działał w tajnym harcerstwie...

- Przed wojną należałem do 4 LDH (nosiliśmy żółte chusty), teraz wstępowaliśmy do Szarych Szeregów, harcerstwa konspiracyjnego. Później Szare Szeregi zostały włączone do AK, ale Jurek Krzyżanowski, jako o kilka lat starszy, trafił do Armii Krajowej chyba znacznie wcześniej. W Szarych Szeregach byłem w jednym zastępie (później, według konspiracyjnej nomenklatury, przyjął on nazwę „roju”) z Grzegorzem Jurkowskim, Pawłem Krupczakiem, Zdzisławem Krzyżanowskim. Wszyscy od „Vetterów”. Naszym zwierzchnikiem był Jerzy Najmoła (pełnił funkcję drużynowego). Robiliśmy akcje „małego sabotażu”. Po śmierci gen. Sikorskiego rozklejaliśmy na murach klepsydry, pełniliśmy służbę kurierską, byliśmy kolporterami podziemnej prasy. Skończywszy w 1942 r. „Vetterów” zacząłem pracować w „Lubzelu”. Było to przedsiębiorstwo zajmujące się budową i eksploatacją linii wysokiego napięcia, a mieściło się na tyłach kościoła św. Michała na Bronowicach. W tym „Lubzelu” była jedna z central konspiracji. Właśnie tam otrzymywałem paczki z „Biuletynem Informacyjnym”, tam też zobaczyłem po raz pierwszy egzemplarze konspiracyjnie wydanych „Kamieni na szaniec” Aleksandra Kamińskiego i „Dywizjonu 303” Arkadego Fiedlera. Nie muszę chyba dodawać, że przeczytałem te książki z wypiekami na policzkach.

- Dużo pańskich kolegów z procy należało do konspiracji?

- W „Lubzelu” prawie cała nasza hala naprawy transformatorów to byli chłopcy z Szarych Szeregów. Kiedy zostałem dyżurnym na stacji wysokiego napięcia przy ul. Długiej (ta stacja była już włączona w obręb obozu na Majdanku), zacząłem nawiązywać kontakty z więźniami. Odbierało się od nich korespondencję, przekazywało żywność.

- I w wyniku tego musiał pan w końcu uciekać „do lasu”?

- Dopiero wiosną 1944 r. Nie pracowałem już wtedy w „Lubzelu”, tylko uczęszczałem do Wolnej Szkoły Malarstwa i Rysunku Janiny Miłosiowej. Mieściła się ona wówczas na Starym Mieście przy ul. Złotej. Pewnego dnia jeden z nauczycieli powiedział mi, że pytali o mnie Niemcy i że najlepiej będzie jeśli natychmiast zniknę z Lublina. Wtedy dostałem z konspiracji kontakt na oddział „Szarugi”.

- Był to oddział specjalny, dowodzony przez ppor. rez. Aleksandra Sarkisowa ps. „Szaruga”. Powstał w okolicach Motycza. W 1944 liczył około setki żołnierzy, miał trzy drużyny, drużynę dowódcy oraz dwunastoosobowy zwiad konny...

- Zajmowaliśmy się głównie odbiorem i zabezpieczaniem zrzutów z alianckich samolotów, działając w rejonie Bychawy i Bełzyc. Ta akcja była określana kryptonimem „Podkomornik”. Kiedy ja trafiłem do oddziału, liczył on około 60 ludzi, doskonale umundurowanych i uzbrojonych w zrzutową aliancką broń. Mundury także mieliśmy alianckie: brytyjskie battle-dressy. A ze spadochronowego jedwabiu szyło się bardzo dobre koszule. U „Szarugi” spotkałem wielu lubelskich znajomych i kolegów, przeważnie moich rówieśników. A między innymi Jurka Krzyżanowskiego, który nosił pseudonim „Szpic”. Oddział „Szarugi” był oddziałem „lotnym”. Wciąż musieliśmy zmieniać miejsca postoju i m.in. właśnie dlatego służba tutaj była bardzo trudna. Lubelszczyzna, wbrew powszechnemu przekonaniu, jest słabo zalesiona. Szczególnie słabo na terenach, gdzie operowaliśmy. Trudno tu było odskoczyć od nieprzyjaciela i zniknąć na dłuższy czas w bezkresnej „leśnej głuszy”.

- Jakie były dalsze losy żołnierzy „Szarugi”?

- Po ucieczce Niemców z Lublina oddział „Szarugi” dotarł do miasta na początku trzeciej dekady lipca 1944 roku. Został zakwaterowany w gmachu dzisiejszego Kuratorium przy ulicy 3 Maja. Większość chłopców wstąpiła wkrótce w szeregi Wojska Polskiego. Dalsze losy wielu spośród tych żołnierzy miały niestety swój nader dramatyczny, a dla niektórych nawet zupełnie tragiczny rozdział. W wyniku atmosfery podejrzliwości wobec byłych akowców (tak charakterystycznej w tamtym pierwszym okresie naszej powojennej historii) wielu dawnych partyzantów od „Szarugi”, a wówczas już żołnierzy polskiej armii, zostało niesłusznie oskarżonych o występowanie przeciwko władzy ludowej. Były wyroki śmierci, więzienia we Wronkach i w Rawiczu, obozy w ZSRR. Skazany został też Jurek Krzyżanowski, który trafił do takiego właśnie obozu.

- Uzupełnię jeszcze to ostatnie zdanie o całkiem nieprawdopodobną, zdawałoby się historię. Otóż Krzyżanowski podczas pobytu u „Szarugi”, a potem w szeregach 2 Armii, prowadził dziennik. Jakimś cudem ten kilkudziesięciostronicowy zeszyt udało się Krzyżanowskiemu zachować po aresztowaniu i w pewnym momencie wyrzucił go przez okienko, towarowego wagonu pociągu zdążającego w stronę Bugu. Podniósł te notatki wiejski chłopiec pasący krowy obok nasypu kolejowego. Po kilku dziesiątkach lat dziennik znalazł się w rękach zajmującego się historią najnowszą prof. Zygmunta Mańkowskiego z UMCS. Przyniósł go jeden z magistrantów, nauczyciel z powiatu hrubieszowskiego. Następnie dziennik trafił do Stanów Zjednoczonych w ręce swego właściciela! Może odzyskanie po wielu latach tego dziennika stało się dla Krzyżanowskiego inspiracją do

napisania „Diany”? I tutaj właściwie moglibyśmy zakończyć naszą rozmowę. Ale nasuwa się nieodparcie jeszcze jedno pytanie: jaki jest dzisiaj, po czterdziestu z górą latami, pana stosunek do tamtej bardzo gorzkiej „lekcji”, jaką otrzymała część pańskiego pokolenia?

- To już jest historia, sprawy bardzo odległe. Ale też właśnie, dlatego, że wchodzi w obręb naszej historii, nie powinno się o nich zapominać lub udawać, że ich nie było.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 13, s. 4.